Nr. 19. Lwów, 1. października 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Aklimazytowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Po przybyciu ptaków na miejsce należy je przez kilka dni w spokoju w klatkach zostawić i dopiero, gdy sobie odpoczną po trudach i wrażeniach podróży, wypuścić i to późnym wieczorem, kiedy nie przyjdzie im tak prędko na myśl ulecieć daleko. Wypuszczenie ma być uskutecznione w podobny sposób, jak wypuszczanie bażantów, kuropatw itp. Klatkę otwiera się powoli i spokojnie i oddala się cicho — tak, żeby głuszec spokojnie mógł klatkę opuścić. Posypane borówki lub brusznice, owies, pszenica, trochę liści kapusty, w końcu bliskość wody, kamyków i piasku zatrzyma głuszce na miejscu. Częściowe podcinanie skrzydeł albo namazanie lotek gliną nie jest odpowiednie. Kolonie głuszców powinno się w ten sposób i w takiej odległości wypuszczać, żeby mogły się słyszeć, ale żeby nie mogły nawzajem sobie przeszkadzać — a więc w odległości 1 do 1·5 km.

Jeżeli się musi czekać dłuższy czas z wypuszczeniem głuszców, należy się trzymać następujących reguł, które podaje Lloyd, na podstawie poczynionych przez siebie doświadczeń w Szwecyi, na trzymanych przez siebie samego lub jego znajomych głuszcach. A więc najprzód do złapanych świeżo głuszców powinien się zbliżać tylko człowiek, przeznaczony do ich strzeżenia i to w ten sposób, aby ich nie straszyć nagłem ukazaniem się itp. Należy więc wolno do nich się zbliżać i wolno odchodzić. Miejsce gdzie są umieszczone, winno być suche i przewiewne i część tego miejsca powinna być pokryta rodzajem dachu. Głuszce jedzą prawie wszystkie gatunki ziarna, szczególniej pszenicę, jęczmień i groch, który bardzo lubią. Powinny także mieć zawsze świeże gałęzie i pęki świerkowe — często zaś jagody, trawę i liście kapuściane lub jarmuż. Jeżeli miałyby z tego powodu jakieś przypadłości żołądkowe, powinno się zaprzestać dawać zieloną paszę.

Nie powinno się dawać, jak w ogóle żadnej zwierzynie w niewoli trzymanej, za wiele jadła. Pięćdziesiąt głuszców padnie z powodu przejedzenia, zanim jeden zginie z głodu.

Muszą mieć, szczególniej w lecie, ciągle świeżą wodę — jak również kamyki i piasek — ten ostatni w większych kupkach, dla paprania się. Gdy dostrzeże się, że który z ptaków jakiś osowiały, lub chory, należy go natychmiast odosobnić, bo go inne ptaki będą prześladowały i odjadały. Na wiosnę muszą koguty być osobno trzymane, bo zaczną się bić i uszkadzać wzajemnie.

Inni znawcy życia i obyczajów głuszca każą mu dawać selery, endywię, sałatę, groch zielony, larwy, robaki, szarańcze itp. — w końcu winogrona i krajane w kostki jabłka, póki lub kiedy już nie ma jagód leśnych, tj. borówek i brusznic. Jabłka każą dawać obierane z łupek, zdarzyło się bowiem raz, że struła się cała familia głuszców, widocznie grzybkami, rozwijającymi się na łupce psującego się jabłka. W zimie należy dawać konserwowane w wodzie jagody leśne, bzowe, jarzębinę, gałązki brzozowe, mające dużo pączków, takie same gałęzie sosnowe, jodłowe i szczególniej świerkowe. Im różnorodniejsze *menu*, tem lepsze. Jałowiec je głuszec tylko w ostatniej potrzebie. Im suchsze jadło tem więcej wody potrzeba — głuszce żywione jagodami świeżemi nie potrzebowały prawie wcale wody.

Jest rzeczą stosowniejszą odłączać zdrowe ptaki od chorych — a nie chore od zdrowych. Ma się to tak rozumieć, że przenosi się zdrowe egzemplarze na inne miejsce, gdyż miejsce dawne może być zarażone przez sztuki chore.

W zakończeniu podajemy reguły postępowania z istniejącym już stanem głuszców.

1. Kury i młode głuszce, które i tak przez inne czynniki są dziesiątkowane, powinny być chronione i oszczędzane bezwarunkowo. Niekiedy nawet bardzo przeważająca liczba kur już w roku najbliższym zupełnie jest doprowadzona do należytego stanu. Starsze kury są wierniejsze wobec swojego rewiru, składają więcej jaj i lepiej wychowują pisklęta, niż młodsze, zakładają one także, jak wyżej powiedziano, bardzo często nowe kolonie.

2. Na 4, lepiej na 6—8 kur powinien przypadać jeden kogut — dlatego należy odstrzeliwać nadliczbowe koguty, bo jeżeli ich jest za dużo, biją się ze sobą w czasie toków i często uszkadzają śmiertelnie. Pojedyncze w rewirze znajdujące się koguty sprowadzają osiedlenie się innych w tem samem miejscu. W regule nie powinno się ubijać więcej kogutów, jak połowę skonstatowanych w rewirze. Koguty późno, często jeszcze w czerwcu tokujące, są to roczniaki, które mogą jeszcze spowodować niekiedy kury do drugiego niesienia się.

Stare tokuny, bardzo kłótliwe i zawsze skłonne do bitki powinno się stanowczo ubijać, i to wtenczas, gdy się je pod lufę dostanie. Ponieważ nie tokują one regularnie, nie można mówić o regularnem na nie polowaniu.

4. W czasie pierzenia się — od połowy maja do końca sierpnia — powinien kogut mieć zupełny spokój.

5. Polowania na tokach wiosennych nie powinno się za wcześnie rozpoczynać, dopóki kury nie zostały zapłodnione — na równiach i na podgórzu nie pierwiej jak przed 15, w głębokich górach nie pierwej jak przed 24. kwietnia.

6. Głównego kontyngentu głuszców przeznaczonych do ubicia powinien dostarczyć środek rewiru, ponieważ wtedy niepewne głuszce graniczne zbliżają się w zastępstwie ubitych do środka rewiru.

7. W rewirze utrzymywać należy stale kupy piasku dla paprania się, bieżącą wodę, mrowiska, które sztucznie zakładać należy, jeżeli naturalnych nie ma.

8. Chociaż głuszec jest twardą i wytrzymałą zwierzyną, jednak nie zawadzi poddawać mu w zimie karmę — a mianowicie suszone jagody i ziarno.

9. Drogim, ale skutecznym środkiem jest strzeżenie gniazd przez ludzi godnych zaufania. Gniazda głuszców, znalezione albo z pomocą ludzi lub też z pomocą spokojnego psa, mającego dobry apel, powinny być z należytej odległości obserwowane. Przeciwko drapieżcom dadzą się gniazda ustrzec przez rozsypanie świeżych ludzkich ekskrementów, porzucenie skrawków papieru, napojonych dziegciem, podobnie przez położenie na około gniazda zardzewiałej obręczy żelaznej, pokrycie gniazda słomą lub trzciną w formie dachu, tak jak przy gniazdach bażancich, chociaż te sposoby mają tę złą stronę, że zwracają uwagę dwunożnych szkodników na gniazda. Wszystko to robić się jednak powinno dopiero wtedy, gdy wszystkie jaja zniesione, gdy kury już twardo siedzą i gdy o tem świadczą rozsypane naokoło gniazda pióra.

Gdyby się wcześniej do tego przystąpiło można łatwo odstraszyć kurę. Wtedy kury opuszczają nietylko gniazda, ale nawet rewir. Ponieważ jak się zdaje, wszystkie pisklęta, albo prawie wszystkie pisklęta z jednego gniazda, są jednego rodzaju, można sobie wyobrazić, jaką szkodę wyrządza się rewirowi.

10. W lesie, w którym chce się hodować głuszce, powinien być spokój — dla tego musi się bardzo troskliwie pilnować, żeby wycieczkowcy, zbieracze jagód i grzybów, gałęzi, nie zajmowali się przypadkiem gniazdami. Znaną jest rzeczą, że i pastuchy lubią jajecznicę z jaj głuszcowych — a ich trzody, mianowicie gęsto idące owce lub kozy roztratowują jaja. Polowanie z nagonką, szczególniej na wiosnę na słonki, jeżeli kto na wiosnę w ten sposób na słonki poluje, trzeba także zarządzać z wszelką ostrożnością — na wiosnę i w jesieni bowiem wszelkie kuraki okazują pociąg do wędrówek.

11. Oczywiście drapieżniki tępić należy bez litości — strzelbą, paściami, tylko trzeba uważać, żeby w paści nie wpadały same ptaki. Wszelką uwagę zwrócić należy na małe drapieżniki, które się ignoruje zwykle, a które są bardzo szkodliwemi. Należą tu jeże, tchórze, łasice, sojki itp.

To samo, co się tu powiedziało o głuszcach, lub ich ochronie, jeżeli już raz w rewirze się znajdują, zastosować można z małemi zmianami do cietrzewi i jarząbków. Tylko tu trzeba zauważyć, że cietrzew nie lubi zwartych lasów, i wybiera właśnie lasy zdewastowane, wycięte, pełne polanek, luk, zarosłe krzakami i jagodami, z polami i łąkami znajdującemi się w pobliżu.

Ponieważ cietrzew jest bardzo żywym i ruchliwym ptakiem, odlatuje zaraz z miejsca, które mu się nie nadaje.

Dla cietrzewi potrzeba dużo brzeziny. Jeżeli cietrzewie znajdą wyliczone wyżej warunki, to zamieszkują rewir bez względu na to, czy się znajduje w głębokich górach, na granicy lasów i turni, czy też na nisko położonem torfowisku. Dla jarząbka potrzeba za to więcej zwartego lasu, — musi mieć zabezpieczone jagody i pęki krzew liściastych, jako pożywienie. Ktoś powiedział o cie

trzewiu, że jest negatywnym, o jarząbku, że pozytywnym recenzentem gospodarki leśnej.

Ponieważ jarząbek żyje w monogamii, w przeciwstawieniu do cietrzewia i głuszca, musi się przy zaprowadzaniu w rewirze jarząbka, wypuszczać w jednem miejscu zawsze parę jarząbków.

Na tem kończymy nasze uwagi o aklimatyzowaniu zwierząt łownych. W społeczeństwach łowieckich obcych krajów rzecz o aklimatyzowaniu nowych gatunków zwierzyny lub restytuowaniu dawniej w pewnych rewirach istniejącej zwierzyny, jest nauką, mającą całą literaturę. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby tych kilka artykułów zachęciło nasz świat łowiecki do starań koło ożywienia rewirów nowym gatunkiem zwierzyny.

Pożyteczność i szkodliwość niektórych ptaków dla łowiectwa.

W jednem z pism niemieckich spotkaliśmy się z artykułem p. Hockego w sprawie szkodliwości niektórych ptaków dla łowiectwa. Artykuł ten zawiera dość dużo ciekawych zapatrywań i z zastrzeżeniem, że nie zgadzamy się ze wszystkiemi wyrażonemi w nim zapatrywaniami, podajemy jego treść, jako mogącą zainteresować szersze koła myśliwych.

Pożyteczność i szkodliwość niektórych znanych ptaków, stanowi często omawiany temat. Okoliczność, że właśnie co do wartości, względnie szkodliwości całkiem dokładnie znanych ptaków, strony przeciwne nie mogą się pogodzić, każe wnioskować, że orzeczenia w sprawie takich ptaków bywają wydawane bądź z braku wiedzy, bądź pod wpływem pewnych względów.

Dziś jeszcze mamy sprawę myszołowów, wron, kosów i wróbli, sprawy, na które całe interesowane partye wręcz przeciwnie się zapatrują, a z któremi znów zgadzają się lub nie zgadzają inne partye, np. ochraniacze zwierzyny lub estetycy. Nam się wydaje, że jeżeli w tej sprawie wydawano orzeczenia, to one nie były bynajmniej wynikiem powierzchownego zbadania, lecz wynikiem wpływu interesowanych stronnictw na to orzeczenie.

Wiem również, że każde ludzkie orzeczenie wydane w sprawie ptasiego świata, jakiemkolwiekby ono nie było, korzystnem, niekorzystnem, zupełnie bezstronnem, musiało być zaczepione bądź przez jedną, bądź przez drugą stronę.

Przypominam orzeczenie Altuma w sprawie dzięciołów, Brehma w sprawie myszołowów i wron, przypominam orzeczenia w sprawie zimorodków, szpaków, dzierżb, bocianów, bąków, nurków i traczów! W sprawach korzyści, względnie szkodliwości naszego domorodnego ptactwa stoją naprzeciw siebie trzy grupy interesów a to gospodarstwo rolne, leśne i wodne i gdybyśmy chcieli uczynić zadość rzecznikom każdej z nich, już byśmy wcale nie mieli ptaków.

Gdyby każda z tych grup dyktowała i zastosowywała środki, uznane przez się za dobre, co nawet w kołach interesowanych zdarza się dość często — bylibyśmy świadkami wyniszczenia ptaków nietylko w rodzajach, ale i jednostkach, a tem samem mielibyśmy widoki jeszcze większego opustoszenia lasu i pola w przyszłości.

Otóż, gdy w ogołoconych ze zwierzyny sosnowych lasach, co także o niektórych państwowych rewirach można powiedzieć, mało albo wcale żadnego nie znajdujemy ptactwa, to rozszerza się spustoszenie, wyrządzane przez owady. Jeżeli zjawienie się większej liczby sów uszatych, pustułek, zamiar osiedlenia się pary myszołowów w nawiedzonych przez owady rewirach, zapowiadały nadciągającą mysią plagę, to wcale na oznaki te nie zważano, podczas gdy wyławiacze myszy, którzy swą naturalną pracę chcieli wykonać w myśl przepisów prawa natury, byli niszczeni surową ręką.

Zupełnie bezwzględnie prześladowano myszołowy i to po największej części robili ci, którzy ich nie rozeznawali. Czyż rzeczywiście musiano ubić tę jedną parę myszołowów w rozległym rewirze, czy również musiał ten los spotkać sowy i pustułki? Pochwalam tych myśliwych, a tych jest znaczna liczba, którzy nawet szkodnika powszechnie jako takiego uznanego do pewnego stopnia w swym rewirze znoszą, myszołowa natomiast życzliwie widzą.

Ja jestem za ochroną myszołowa, gdyż uważam go za pożytecznego ptaka.

W latach mysiej plagi widziałem w naszych sosnowych lasach tak liczne myszołowy, że każde gniazdo było obsadzone nawet czterema jajami, podczas, gdy zazwyczaj jest ich dwa lub trzy. W następnym roku zniknęła plaga mysia a myszołowów nie można było spotkać, gdyż przeniosły się gdzieindziej ze swemi usługami.

Nie trzymam wprawdzie z Brehmem, który myszołowa nazywa świętym ptakiem, lecz również nie godzę się z jego przeciwnikami, którzy mianują go świętoszkiem. Mnieby nie mogło w lesie brakować myszołowa z uwagi, że on wkrótce będzie ostatnim z wielkich naszego ptasiego, drapieżnego świata. Wszystkie rodzaje myszołowów, jakkolwiek pożyteczne, występują jako szkodliwe, gdy atakują małe, chore i zranione ptaki.

Ale czyż mamy rzeczywiście uważać za użyteczne wszystkie te ptaki, które myszołów niszczy przy sposobności, a sokół wędrowny już z mocy swej natury? Zresztą jest to nierozsądkiem, zwalać na myszołowa występki, których ani nie popełnił, ani popełnić nie może.

Wszak wiadomości o nim, nawet u tych, którzy o nim mogą sąd wydać, są bardzo maluczkie a niejeden myśliwy nie potrafi go odróżnić od kani, lub sokoła wędrownego.

Jest tylko kilka rodzajów ptaków drapieżnych podobnych do siebie, że się tak wyrazimy „z grubsza“, lecz dla takiego strzelca jestto chaos, którego nie potrafi zrozumieć, i nie potrafi sobie zadać trudu, aby zrozumieć. Jeżeli się podaje do wiadomości publicznej spostrzeżenia, które odnośnie do myszołowa mogą się opierać tylko na nieporozumieniu, byłoby wskazanem publiczne omówienie sprawy, by można zapobiedz błędom i wynikającym stąd konsekwencyom. Myszołów nie może ubić zdrowego, lecz tylko chorego lub na pół martwego ptaka, toteż niesłusznością jest obwiniać go o to pierwsze. Nieraz — na próbę — kazaliśmy sobie podać w kuchni restauracyi, położonej przy lesie — świeżo odcięte główki indyczek i kurcząt, kładliśmy je na dworze a zabierał je myszołów i niósł do gniazda, gdzie je potem znachodziliśmy.

Cóżby było, gdyby tak nadszedł ktoś nieuprzedzony, o tem cośmy zrobili, i zastał — rzekomo odgryzioną głowę indyczki pod gniazdem myszołowa — cóżby był wywnioskował? Z pewnością byłby także zwalił na myszołowa występek ubicia indyczki.

Każdy z obserwujących znachodził w lesie zbarczone lub przez drapieżce ubite ptactwo, a aby być dokładnym wymieńmy: grzywacza i kaczki krzyżówki. Wedle praw natury powinnyby resztki gołębia spożyć kruki, kanie, może także psy, lisy, albo koty, ale powszechnie to się nie zdarza, lecz zazwyczaj robi to robactwo. Jeżeli jednak znajdzie się myszołów przy uczcie, jeżeli go przy niej przydybią, to z pewnością przypiszą mu ubicie gołębia.

Taki spostrzegacz nie posądzi jastrzębia, ani wędrownego sokoła o to, lecz zwali winę na myszołowa, a przecież jeden albo drugi ubił gołębia a odbiegł go tylko, gdyż mu przerwano spożycie tej zdobyczy. Kto poznał życie naszych, że się tak wyrazimy pasorzytnych ptaków, wie, że kruki i kanie stały się rzadkością w naszych rewirach, a myszołowy jeszcze nie, lecz ciągle zakreślają z niewyczerpaną cierpliwością nowe i coraz nowe koła, by w końcu wyśledzić zdobycz. Myszołów jest niewybrednym stołownikiem i zgadza się na to, co podadzą; jest zmuszony przyjąć co ze stołu pańskiego spadnie i takim pozostanie.

Jak z jednej strony brak wiedzy przyczynił się do przerzedzenia stanu myszołowów, tak z drugiej strony jest to przesądem naszych krajowych myśliwych, że strzelają nawet pustułki, które są najlepszemi niszczycielkami myszy, podczas gdy wieśniacy chcieliby ochrony dla bociana — w czem znowu jest im myśliwy przeciwny. „Ale“ mówi E. Homeyer, „jego pożywienie stanowią przecież zwierzęta, które są wręcz szkodliwe“. Brehm mówi: Pozostawmy równinom pozbawionym uroku, wodnistym, obfitującym w żaby, przynajmniej bociany“.

Dla dalszego porównania przytaczam oświadczenie księcia Hohenlohe-Langenburga (ówczesnego namiestnika Alzacyi i Lotaryngii, późniejszego prezydenta ministrów), które dał w sejmie w r. 1876 przy sposobności obrad nad ustawą o ochronie ptaków: „Niechętnie przyjąłem bociana na listę ptaków podpadających ochronie, gdyż obwiniony jest o ciężkie występki, lecz byłem za oględny, by go z listy wyłączyć, gdyż wiadomo, jakiem przywiązaniem darzy go ludność, a głównie odnosi się to do niewieściego świata.“

Czas złagodził pewne zapatrywania i przesądy, myszołów jednak dalej jest tępiony.

Obecnie, kiedy mniej sprawę myszołowów, natomiast więcej poruszają sprawę wron, staje się doniosłem pytanie: jak umożliwiono rozmnażanie się wron?

Czy przyczyniła się do tego natura, czy też człowiek?

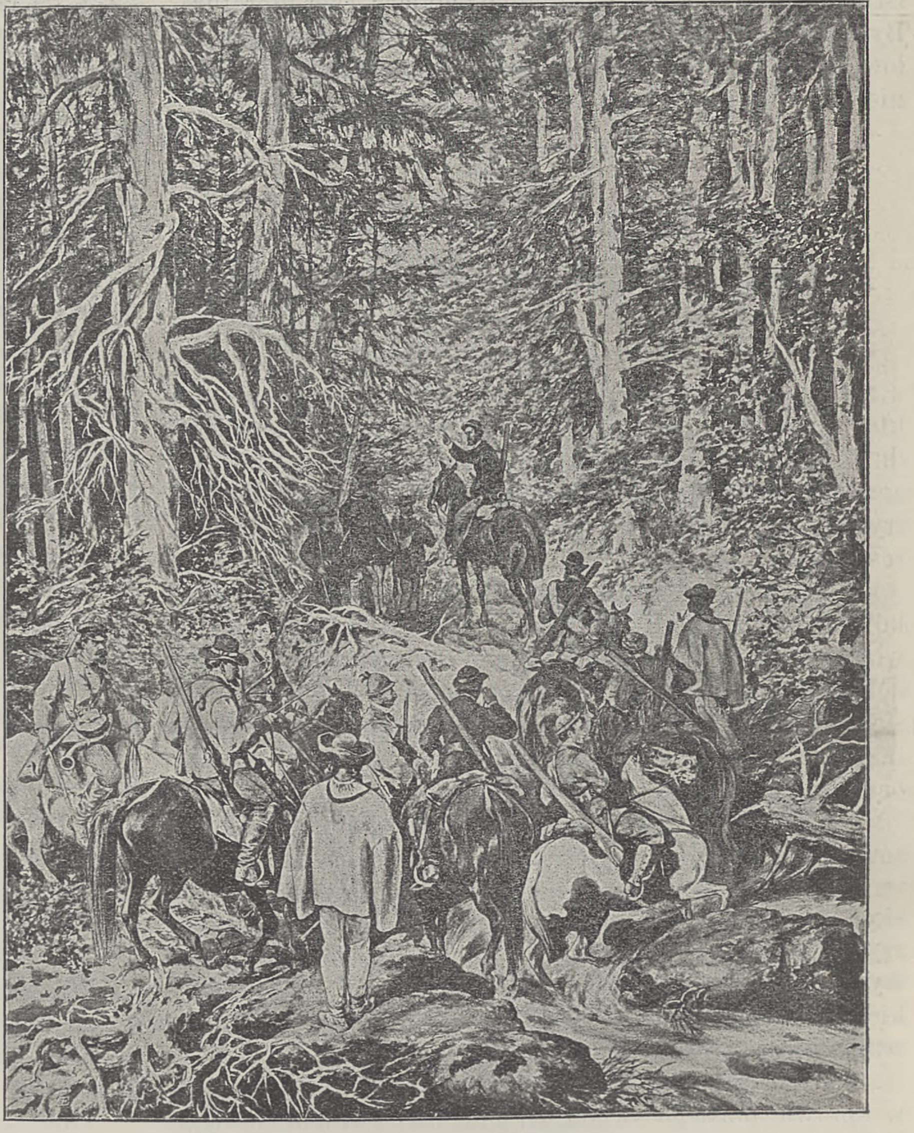
Tylko człowiek zdziesiątkował, względnie wyniszczył zupełnie, naturalnych nieprzyjaciół wrony, między którymi zwyczajnymi nieprzyjaciołami są jastrząb i sokół, nadzwyczajnymi kruk, puhacz i orzeł.

Wrony rozmnożyły się kosztem słabszych ptaków, wrony zostały panami doli i niedoli leśnego i polnego ptactwa.

Wzmagające się rozmnożenie i rozprzestrzenienie wron i sojek spowodowało częściowo zmniejszenie się drapieżników.

W sprawie wron nie bardzo byłoby bezpiecznie doradzać, gdyż w sprawie tej zużytkowano więcej słów, niż spostrzeżeń, a walczy w niej dalej Jabłonowski przeciw Rörigowi, którego znowu bierze J. Thienemann w obronę, tak że sprawa ta ugrzęźnie w chaosie osobistych zaczepek.

„Wrony mogą się okazać bardzo użytecznemi w rewirach, w których znajduje się plaga mniszki“ mówi Altum.



Scena z polowań ks. Adama Sapiehy.

Spostrzeżenia wykazały, że w rewirach tych były setki wron i że później zniknęły, gdy już nie miały tego żeru, mówi znowu Rörig.

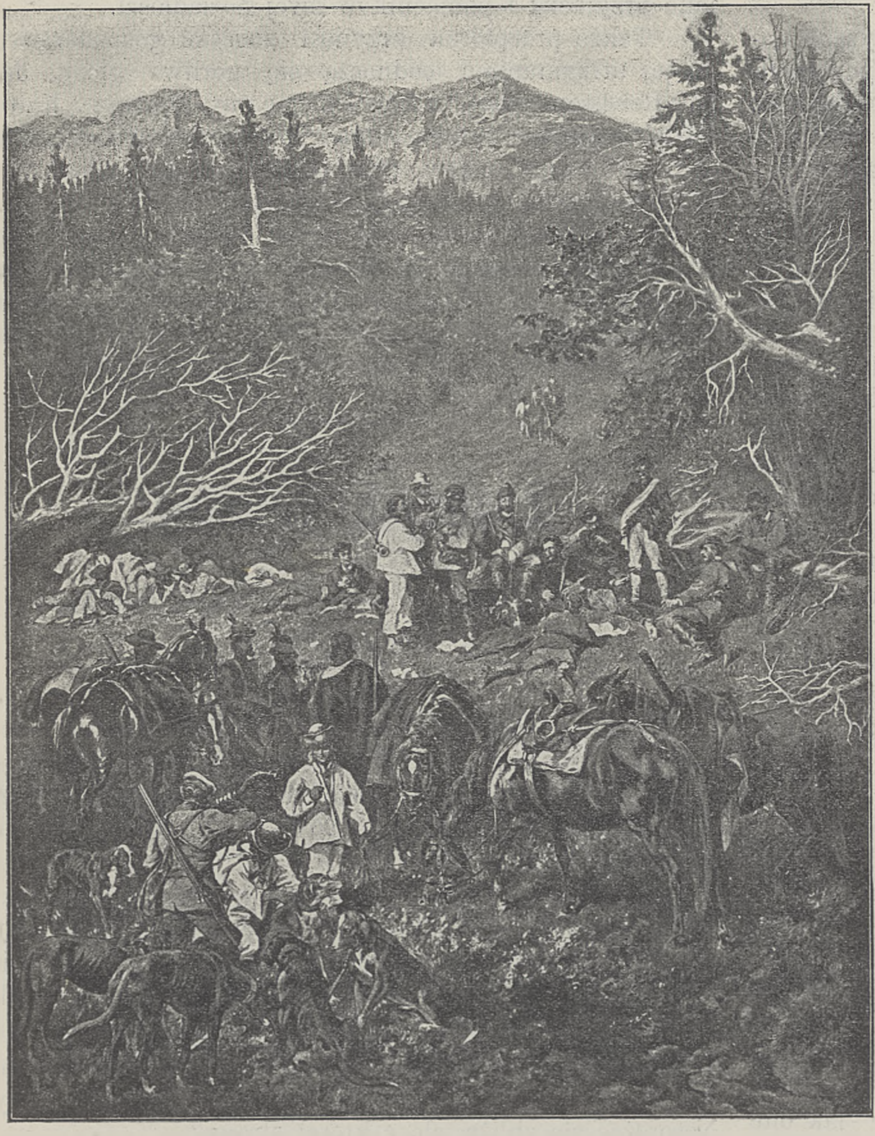
Zwiedzałem ten rewir często; był on w tym czasie obfity w ptactwo, dziś ptactwa w nim skąpo.“ „Wrona jest jednym z naszych najużyteczniejszych ptaków, który bezwarunkowo zasługuje na ochronę“, czytałem w Bechsteinie.

„Prawie wszyscy myśliwi zgadzają się na to, że korzyści, których przysparza wrona, wyrównywują zrządzane przez nią szkody.“ (J. Pleyel). Natomiast każą ojcowie miast, posiadających irrygowane pola — Berlin na czele — strzelać wrony, niektóre gminy na strzelanie wron zapraszają jak na dożynki; równocześnie atoli naczelnik gminy sąsiedniej, pozostający zresztą w przyjaźnych sąsiedzkich stosunkach, lub właściciel lasu, zabrania naruszenia stanu wron.

Wrony przedstawiają się bezwarunkowo jako uży-

teczne przy masowem śnięciu ryb, co już tylokrotnie obserwowałem np. nad Hawelą, lub na marchijskich jeziorach, w czerwcu każdego roku po ostatniem masowem śnięciu ryb, po wielkich deszczach, które powodowały w Berlinie i Charlottenburgu otwieranie śluz bezpieczeństwa na dolnej Sprei. Powierzchnia wody szlamem pokryta, niosła taką masę częścią żywych, częścią na pół martwych ryb, że miejscami wyglądała zupełnie biało.

Ten pogrom ryb witali z prawdziwą uciechą kłusownicy rybaccy, którzy ryby, jako upragnioną zdobycz, bądź rękami bądź siećmi wyławiali i często unosili centnarami.



Scena z polowań ks. Adama Sapiehy.

Jako policya sanitarna wkroczyły wrony, o czem należy z uznaniem wspomnieć.

Także w latach, nawiedzanych przez chrabąszcze i gąsienice, mogą być wrony użyteczne gospodarstwu.

Lecz pomimo to wszystko, nie zaliczam wron do moich faworytów. Tę samą niechęć okazuje im wiele ptaków, które poznały je wśród okoliczności, napawających nie miłością, lecz strachem. Cały szereg ptaków większych, między nimi kaczki, nurki, wodne kurki itd. przykrywają swe gniazda, by uniknąć drapieżności wrony.

Lecz również leśne i polne ptaki nie są w obec wrony bezpieczne.

We właściwym czasie znachodzimy na wszystkich ścieżkach resztki jaj bażancich i kuropatwich, które wykazują ciosy wronich dziobów, ale nigdy nie uda się odnaleść szczątków jaj w żołądkach wronich. Sądzę, że już nie można było tych szczątków skonstatować przy badaniach i to policzono na dobro wrony.

Moje orzeczenie co do wron opiewa: mniej wron, a zamiast nich więcej sów i sokołów.

Do tego mógłby się wielce przyczynić właściciel polowania.

Właśnie teraz wyłania się znowu sprawa kosa.

Jest ona nowszej daty, niż sprawa myszołowa, wrony i wróbla. Narzucona w r. 1879 przy sposobności würzburskiego kosiego procesu, uważa się dziś za godną omówienia, gdyż kosy się rozmnożyły. Gdy jednak kosy są mniejsze ptaki, niż myszołowy i wrony, przeto dotykają one tylko mniejszych kół interesów.

Zarzucają im, że wypłaszają nam z gajów przyjemne i pożyteczne ptaki, co się głównie do słowików odnosi. Ale czyż nie mogą także inne przyczyny, np. wałęsające się dzikie koty, zmniejszona sposobność do gnieżdzenia się, wpływać na zmniejszanie się liczby małych ptaków, w szczególności słowików?

Także i w tej kwestyi nie zgadzają się zawodowi uczeni. Podczas gdy Baldamus, Schnur i Kurzius, mieli w swych wielkich ogrodach tyle kosów, a gdzie tem mniej gnieździły się małe ptaki, twierdzi A. Homeyer, że „kos nie może być nieprzyjacielem naszych słowików i innych ptaków, nie może również zjadać małych ptaków, bo gdyby to czynił, nie żyłyby z nim w harmonii.“

Pleyel mniema że „kos użyteczny w parku, również w lesie.

Wielka niezgodność jest właściwą tylko kosom w parku, być może, że nadkultura kazała im rozwinąć w sobie zdolność do plądrowania gniazd.

W naszych wielkich ogrodach, w miarę zapatrywań właściciela, bądź chronią, bądź prześladują kosa.

W berlińskim „Friedrichshain“ większym parku o pięknych drzewach, chowano go dawniej; obecnie chowu tego zaniechano. Kosy tak się tu rozmnożyły, że we właściwej porze można było z jednego miejsca słyszeć naraz tuzin samczyków. Ale słowiki stawały się rzadkie, w tym roku nie było w gaju ani jednej pary.

„Czy kos jest pożytecznym ptakiem?“ Pytanie to poddano dyskusyi w piśmie „Thierfreund“ w r. 1898 przy sposobności zgromadzenia „Thierschutzvereinu;“ w czerwcu 1903 radzono dalej przy sposobności roztrząsania różnic co do ochrony polowania i ptactwa, które specyalnie dotyczyły dwóch pytań:

Zakazu polowania niedzielnego, sprawy kosa i drozda.

Wynik obrad: Kantony są uprawnione zezwolić na strzelanie kosów, drozdów i szpaków, które w winnicach i zagrodzonych sadach wyrządzają szkody właścicielowi względnie jego pełnomocnikowi w jesieni aż do ukończenia winobrania i sprzętu owoców“.

W czasopiśmie „Ornithologische Monatschrift“ z lipca 1903, zamieszcza Dr. Koepert sprawozdanie, oparte na zebranych orzeczeniach interesantów, dodając, że wy-

padły zbyt pessymistycznie, nadmienia atoli, że byłoby błędem sądzić kosa za optymistycznie.

Zapatrywania na wartość wróbla są tak podzielone, że twierdzenie „każdy ma na tę sprawę własne zapatrywanie“ nie będzie przesadne. Złorzeczono wróblowi i wyrażano życzenie, by został wymazany z pośród naszych gatunków. Złorzeczono mu, gdy gąsienice groziły ogryzieniem resztek zieleni.

Zachodzi przy nich to, co przy wronach, kosach, szpakach: tam gdzie zjawiają się zawcześnie, szczególniej, w porze letniej, należy je dziesiątkować.

Russ mówi o wróblu polnym: „Musimy wyrazić nasze zapatrywanie, że w ogrodach i tym podobnych miejscach możemy wróblowi dozwolić mieszkać swobodnie, natomiast powinniśmy wypłaszać gromady wróblów z pól zbożowych tak zapomocą straszaków jakoteż innych środków prześladowczych“. Liebe, ten zresztą znany zwolennik ochrony ptaków, oświadczył się na niekorzyść ptasiego proletaryusza.

Nasza ustawa o ochronie ptactwa — nie ma zastosowania do wróblów.

W niższej Austryi doznaje wróbel pewnej ochrony, gdyż §. I. dziennika rozporządzeń krajowych Nr. 27, nie wymienia go między szkodliwymi ptakami, w skutek czego wedle brzmienia ustawy dozwolone jest tylko łowienie lub ubicie, nie zaś wyjmowanie lub niszczenie gniazd. W myśl ustawy o ochronie ptaków dla Karyntyi (dz. rozp. kraj. N. 54.) i noweli z 28 marca 1883. (dz. rozp. kraj. Nr. 11), jest wróbel szkodnikiem, którego bezwzględnie tępić należy.

Będziemy musieli na polu ochrony ptactwa postąpić dalej, a ochrona ta wtedy ujrzy prace swe uwieńczone skutkiem, gdy niektórzy główni interesanci użyczą mniejszym pewnych koncesyi. Stosowny czas nadejdzie.

Jeżeli jedna berlińska firma mogła sprzedać w jednym sezonie 5804 kwiczołów, druga zaś 30.000 jaj czajczych, to fakta te mówią tylko o wyzyskiwaniu wydanej ustawy, którаby powinna uledz rewizyi. Sprzedaż tych ptaków i jaj przynosi korzyść poszukiwaczom i poławiaczom — bynajmniej zaś gospodarstwu leśnemu lub rolnemu.

Poławianie drozdów zapomocą sideł, łakomstwo na skowronki, zjadanie jaj czajczych, są tylko resztkami niemieckiego narodowego zwyczaju, podobnie jak one w południowych krajach dotychczas się utrzymały, a na które my z politowaniem spoglądamy uważając się w tym względzie za lepszych o wiele.

Także wykazy ubitej zwierzyny—podające na setki ilość padłych sów — dowodzą braku wiedzy. Rosya wydała surowy zakaz wywozu ptactwa, Niemcy stworzyły od niedawna prawo, które udziela ochrony rzadkiej zwierzynie w południowo — zachodniej Afryce; Anglia ma od lipca b. r. zakaz zakaz wywozu dla Indyi, dotyczący ptactwa; Europa — z wyjątkiem niektórych państw nie biorących udziału — ma paryską konwencyę dla ochrony ptactwa; należałoby się starać o dalsze prawa ochrony.

Jeszcze około roku 1868, mieliśmy w Niemczech wielkie jarmarki ptasie — miał taki jarmark także Berlin. Opisał go Dr. Bolle.

Jarmark taki odwiedzałem często i często nim się cieszyłem, gdyż nieraz można tam było spotkać rzadki okaz, którego istnienia w pewnym gatunku nawet się nie podejrzywało. Jarmark zniknął. Wyrażają życzenie, by ustawa nie dozwalała również poławiania kwiczołów i nieszczęsnego podbierania jaj czajczych. Skowronki i czajki musiałyby pozostać dla gospodarstwa rolnego, tak jak drozdy dla leśnika.

Także kuropatwy i przepiórki są największymi dobroczyńcami dla gospodarstwa rolnego.

Wiemy, że kuropatwa niszczy co dzień 300 ziarnek szkodliwych chwastów, wiele takichże owadów, ślimaków much, na łanach pszenicy i żyta, które sprawiają wielkie szkody. Właściciel polowania będący równocześnie gospodarzem, zna pożytek kuropatw i będzie je uważał jako przyjaciół i pomocników swej posiadłości.

Także przepiórka przynosi korzyść gospodarstwu. Za jej utrzymaniem podnoszą się gorliwe głosy. Jak do „Reichsanzeigera“ z końcem lipca br. donoszą z Kairu, wydało egipskie ministerstwo nowe rozporządzenia, mające ograniczyć połów przepiórek i masowe wyniszczanie mniejszych, śpiewających ptaszął.

Przepiórki można tam odtąd łowić w sieci tylko w odległości co najmniej 1000 m., od brzegu morza, dalej zakazano połowu ptaków za pomocą prętów z lepem na całym egipskim obszarze i tak samo sprzedaży małych ptaszków, znanych pod nazwą „beccafigues“.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Podczas naszego pobytu w obozie Ńiągarué jeden nosorożec napastował nas dwa razy, raz po raz. Nie przeczę, że czasem zwierzęta mają swoje fantazye i odchodzą spokojnie, nie napastując myśliwego, ale takie stanowią wyjątek gruboskórego rodu.

Powrócimy jeszcze do obyczajów tego zwierza, jako też i innych mieszkańców puszcz; jak na teraz zdaje mi się, że dosyć powiedziałem, aby każdy z czytelników zrozumiał, że widząc na ziemi tak niezbite ślady nosorożca, uważaliśmy spotkanie z nim jako rzecz pewną.

Jakoż nie myliłem się; bo oto w chwilę potem doszedł uszu naszych dźwięk nosowy, tak dobrze nam znany. Nosorożec się zbliża, ale z której strony?

Kambambe wskakuje na drzewo, w kilku susach jest już na wierzchołku, nie zdążył się jeszcze dobrze rozejrzeć naokół, gdy twarz jego przybiera wyraz nerwowy. Oho! wiem ja dobrze, co to znaczy, nosorożec musi być tuż. Chłopiec spiesznie spuszcza się z drzewa i rękoma daje nam znaki.

— Tędy, tędy chodźcie, nosorożec leci wprost za nami! Dziwnym trafem nie zwęszył nas dotąd, choć, zdaje mi się, że pod wiatr idziemy. Spieszmy się więc i czemprędzej zmieńmy miejsce.

W milczeniu posuwamy się o jakich siedm metrów w bok. Miejsce jest dość odkryte, drzew mało, za to krzewy, podobne do głogów, rosną gdzieniegdzie gęstemi kępami.

Zarośla te w niektórych miejscach dochodzą nam do pasa, gdzieniegdzie rosną większe i te zasłaniają nam widok, na dziesięć metrów wokoło krzaki tworzą rodzaj gęstej zasłony (to własność zarośli afrykańskich), po za którą nie widać już nic.

Wymarzone warunki do polowania na antylopy doskonałe; mniej pożądane na nosorożce, bo choć zwierz jest wielki, to prawda, ale łeb trzyma nizko przy ziemi i węszy, a cielsko całe ukrywa w gęstej roślinności, co utrudnia strzał.

Ślady nosorożca znajdują się od nas nieco na lewo, na niewielkiej pustej równinie, to jest na przestrzeni, jaka nas dzieli od zwierza. Ja mam zamiar nie strzelać zaraz, skoro się ukaże, tylko czekać cierpliwie, jak będzie postępował, zobaczymy, co będzie robił, chcę mieć maleńką próbkę zwyczajów gruboskórego jegomości. Wszystko nam sprzyja jak dotąd, wiatr nawet mamy przyjazny. Dodać należy, że grunt jest kamienisty i nieco spadzisty od strony, skąd zwierz nadchodzi. Nabijam broń, kładę dwie kule pełne w karabin 303, na wypadek, gdybym miał zwierza w łeb strzelać, zaś ekspres Nr. 1 będzie mi służył do zwykłego strzału. Uczyniwszy te przygotowania, skryliśmy się doskonale za krzakiem. Nosorożec jeszcze nas nie zwietrzył, bo napewno byłby się na nas rzucił. Chrząkania i sapania już nie słychać. Swoją drogą, gdyby on wiedział, jaką nam zrobił olbrzymią przysługę tem jednem krótkiem chrząknięciem! Dzięki miłemu głosikowi, jesteśmy teraz dobrze ukryci i bezpieczni. Jakoś długo każe na siebie czekać. Ach, otóż i on! Przybliża się powoli, szczypiąc trawę spokojnie. Wkrótce widać doskonale o jakichś dwieście metrów szary jego grzbiet. Co się ze mną dzieje, trudno wyrazić i opisać. Bo co to za radość dla strzelca widzieć, jak zwierzyna zbliża się sama pod lufę i jeszcze do tego taka pyszna.

Zwierz podchodzi coraz bliżej, ale łba dotąd dobrze nie widać.

Po chwili podnosi się niespokojnie i nasłuchuje; wciąga gwałtownie powietrze, sapie i chrząka i opuściwszy łeb nisko, biega tu i tam, choć już nas zwęszył. Ale dotychczas nie chwycił dokładnie wiatru. Żeby tylko nie umknął. A może go nie trafię? Przychodzi mi na myśl wyjść z ukrycia i otwarcie zakończyć walkę; ludzie moi powstrzymują mnie od tego niebacznego kroku. należy czekać. Bo oto nosorożec wraca i pędzi na nas. Nigdy nie widziałem lepiej straszliwej bestyi, jak tego dnia: prawą łapą tratuje i kopie ziemię, jednem uderzeniem rogu odziera ze skóry korzenie drzew, miażdżąc je następnie w potężnych szczękach. Zwierz jest zły, strzyże uszami i wykręca śmiesznie małym ogonem, w tę i drugą stronę, jakby dla opędzenia much. Na grzbiecie, karku i bokach osiadła cała chmara ptaków owadożernych, które, świegocąc i przelatując z miejsca na miejsce, żer mają obfity.

Te żarłoczne ptaki mogą nas zdradzić, bo one pierwsze przeczuwają niebezpieczeństwo i wrzeszcząc przeraźliwie ulatują, co jest przestrogą dla zwierza. Ja też już dłużej nie czekam, podnoszę wolno mój ekspres, mierzę w serce i... palę. Odgłos strzału, powtórzony przez echo, rozległ się w dolinie, cała chmara ptaszków ulatuje z wrzaskiem... Z przeciągłym rykiem i złowrogim świstem bólu, z głową nizko opuszczoną, zwierz popędził wprost przed siebie, tratując po drodze i wyrzucając rogiem tumany piasku i żwiru.

To wszystko stało się tak prędko, że nawet nie miałem czasu drugi raz nabić karabina, zwłaszcza, że w gęstwinie trudno jest się ruszyć.

Zwierz pogalopował. Przez kilka sekund jeszcze dochodzi nas oddech świszczący, chrzęst miażdżonych gałęzi, potem tylko tentent kopyt po skalistym gruncie... i zwierz zniknął. W chwilę potem jesteśmy na tropie, tu się przekonałem, że chybiłem. Mierząc w serce... trafiłem w płuca, a że tak jest, świadczy o tem najlepiej spieniona farba na tropie. Noc nas zaskoczyła w pogoni za postrzelonym, zakładamy więc nędzne obozowisko. Nie mogę powiedzieć, aby wieczerza była obfita, zaledwie skromna, zdobyliśmy się na herbatę i garść ryżu. Spać trzeba pod lichą kołdrą, co prawda, ale bardzo poetycznie, bo w cieniu drzew, zimno jednak nam strasznie dokuczyło. Szczęście, że naokół lwów i innych dzikich bestyi nie było,

Rozpalamy ognisko i zasypiamy, marząc o bezpiecznych palisadach i ciepłych namiotach, z któremi trzeba się pożegnać na czas dłuższy.

Różowy świt budzi nas. Jak dotąd, żyjemy poezyą i nadzieją, co będzie dalej, zobaczymy. Tymczasem puszczamy się w pogoń za tropem i dopiero około godziny dziesiątej odnajdujemy zwierzynę nad brzegiem jakiegoś bagniska. Nosorożec musiał zakończyć swój żywot jeszcze wczoraj wieczorem, mniej więcej wtedy, gdyśmy zatrzymali się na nocleg.

Jak to mówią, nie wszystko złoto, co się świeci. A tak wiele obiecywałem sobie z tego nosorożca!

Zdawało mi się, że zdobyłem przepyszny okaz, a tu tymczasem widzę, że mnie nadzieje zawiodły, bo i wzrost jakoś niewielki i rogi mocno zużyte. Eh! doprawdy, nie warto było robić sobie tyle zachodu, znosić tyle trudu, ale nie czas na żale.

Nosorożce w sile wieku zachowują rogi w pysznym stanie, bo rosną one zwykle prędzej, aniżeli się ścierają i niszczą; ale z nadejściom wieku starszego wzrost rogów się przytępia i ustaje, przez to robią się one coraz krótsze i z czasem prawie zanikają.

Zdarzyło mi się raz, że zabiłem samicę nosorożca już bardzo starą. Rogi jej były zupełnie zniszczone i nie przechodziły wysokością kilku centimetrów. Po strzale nastąpiło niemiłe rozczarowanie myśliwca, który widzi, że ze swej zdobyczy nic zachować nie może.

To jeszcze szczęście wielkie, że taka dekonfitura nie często mnie spotyka, bo chybaby czarna rozpacz nas ogarnęła.

Jedne z najpiękniejszych okazów rogów, jakie posiadam w mojej kolekcyi, są bez zaprzeczenia te, jakie w tej okolicy podczas ostatnich łowów zdobyłem. Spędziłem tu ze dwa tygodnie i zabiłem wszystkiego cztery nosorożce, między nimi dwa wprost olbrzymy na wzrost, dały mi one wspaniałe rogi: 0 ^{m}, 695 ^{m}, i 0 ^{m}, 38*), 0 ^{m}, 75 i 0 ^{m}, 39.

Co zaś do innej zwierzyny, to upolowałem jeszcze trzy antylopy i jednego jelenia.

Cała ta dzika okolica wywarła na mnie głębokie wrażenie.

Często we wspomnieniach moich staje samotna, jako kraina olbrzymów, piękna i imponująca swą wielkością i ciszą. Zewsząd wyzierają jakieś góry tajemnicze, szare skały okryte splotami bujnej roślinności, naokół tylko góry i lasy, pełne tajemniczych drgnień i szeptów, jakiś zakątek oddzielony od reszty świata, którym nikt nie rządzi, tylko jedna potężna dzika natura.

Wśród takiej krainy żyją nosorożce, przebiegając puszcze i wzgórza, krążąc wśród bujnej roślinności.

---

*) Nosorożce dwurożne żyją tylko w Afryce. Noszą na nosie dwa rogi, jeden za drugim. Pierwsza cyfra odnosi się do przedniego rogu, druga zaś do ostatniego.

Olbrzymie ich niezgrabne cielska, rozkoszują się ciepłem i swobodą. Co robią i jak żyją, nikt nie dojdzie, tajemniczość wielka je otacza, prędzej poczytaćby je można za jakieś przedpotowe potwory mitologiczne, z bajek skandynawskich lub buddyjskich, aniżeli za tegoczesne zwierzęta.

Kąpiącemu się w półdzikiej naturze, w pogoni za potworami, olbrzymami, zdawało mi się nieraz, że śnię, że żyję w jakiejś epoce legendowej, w dalekich przedhistorycznych czasach, kiedy ludzie mieszkali jeszcze po grotach, ścigali potwory dziwaczne, straszne i było mi bardzo dobrze, i smutno zarazem, i żal, że wkrótce opuścić trzeba tę cudną naturę, to zaczarowane ustronie.

Pod koniec XIX-go wieku coraz rzadziej spotykamy podobne zakątki ziemi ciche i samotne, gdzie ani śladu stopy ludzkiej.

Przyszłe pokolenia znać będą potężne zwierzęta z wykopalisk i szczątków.

Cywilizacya, ta potężna pani, idzie zwolna, wiodąc za sobą różnobarwny tłum dworzan, zajmuje coraz nowe obszary pod swą władzę i nadaje im właściwy kosmopolityczny charakter, ścierając pierwotne, rodzime cechy.

Gdy przybywamy do jakiejkolwiek wioski i zapytujemy jednego z krajowców, czy jest na co polować w okolicy, pytanie nasze nie jest nigdy zrozumiane. I oto jak brzmi odpowiedź:

— Są w lasach gnu, antylopy czarne, dzikie kozy, jelenie itd.

— Dziękuję, wiem o tem — odpowiadam — ale czy niema grubszego zwierza (uyama)?

— Tu? a tak, jest tego dosyć w tej stronie.

I wskazują ruchem ręki przestrzeń co najmniej dwudziestu kilometrów.

I rób co chcesz, nie pomogą prośby, ni groźby, więcej niczego dowiedzieć się nie można.

Mamy więc najlepszy dowód, jakie dzicy mają pojęcie wogóle o polowaniu. A są głęboko przekonani, że takiem objaśnieniem i szerokim ruchem ręki, robią mi grzeczność i przysługę. Nie wyprowadzam ich z błędu, lecz nadal wszelkich pytań na temat polowania zaniechałem zupełnie. Takie odpowiedzi najspokojniejszego człowieka mogą doprowadzić do wściekłości.

W wielu wioskach zbierały się specyalne deputacye na cześć naszą, z gotową oracyą na powitanie; widocznie w celu pochlebienia naszej miłości własnej, uprzedzali nas, mówiąc, że wiedzą, iż jesteśmy strzelcami, poszukującymi zwierzyny. Nieproszeni zupełnie, objaśniali, że w okolicy jest dużo „uyama". Oracye przerywaliśmy im zaraz, mówiąc chóralnie:

— A wiemy, wiemy, są gnu, antylopy czarne, dzikie kozy, jelenie.

Dzicy w podziwieniu kiwali głowami potakująco:

— *In de, in de!* (tak rzeczywiście) — a patrząc w zdumieniu na siebie, szeptali: — Patrzcie, już wiedzą, jacy mądrzy!

Jednem słowem, jak to mówią, „nabieraliśmy" czarnych głupców.

Zawsze jednak te figle i manipulacye nie objaśniały mnie nic a nic o zwierzynie.

Należało użyć innego sposobu.

Zaczynałem więc rozpytywać się, czy niema gdzie w okolicy jakiego fachowego strzelca i kazałem go sobie przyprowadzić; czasem nawet przychodziło ich paru, ci dopiero dawali mi potrzebne wskazówki.

Nieraz brałem ich z sobą na wyprawę, częściej jednak odsyłałem do domu, wynagradzając jakim datkiem. Jako przewodnicy, szli chętnie, bo wiedzieli, że dostaną dobrą zapłatę, gdy polowanie się uda i znajdziemy grubą zwierzynę.

W przeciwnym razie dostaną tylko żywność, nie biorąc w rachubę licznych szturchańców, jakimi ich darzą moi ludzie.

W nieznanej okolicy każdy z krajowców może być przewodnikiem i przeprowadzać z miejsca na miejsce; lecz tylko strzelcy tutejsi mogą wskazać legowiska i kryjówki, gdzie przebywa zwierzyna.

W pasie Ouudi nie mieliśmy wcale szczęścia. Dawniej podobno było tu zwierza huk, lecz dziś, w miarę jak zbliżamy się do Zambezi, wszystkie ślady zanikają. Przed kilkunasty laty w tej okolicy plądrowali podobno krajowcy, polując na słonie, li tylko dla jednych kłów, które następnie sprzedawali handlarzom do Tete. W chęci większego zysku niszczyli zwierzęta bez litości, skutkiem czego słonie opuściły niewdzięczną krainę zupełnie, przenosząc się w dalsze strony.

My na tem ucierpieliśmy niemało, bo oprócz kilku nosorożców i antylop, nie upolowaliśmy nic, a to trochę, jak dla nas, za mało.

Nie zatrzymując się długo, przechodzimy w dalsze strony. Pod sam koniec pory deszczowej, to jest w czerwcu, w drodze powrotnej znajdujemy się znów w górnym Kapotsze, o kilka dni drogi na północ od naszego dawniejszego obozowiska w Niarague, na ziemi władcy Mpesenów.

W tych okolicach, a mianowicie na południe od równika, pory roku dzielą polowanie na trzy główne działy:

Grudzień, styczeń, luty i marzec: deszcze ciągłe i trawy wysokie, zwierzęta kryją się po zaroślach gęstych, że ani ich ujrzeć. Obfitość wody jest wielka. Wszędzie płyną z szumem większe i mniejsze strumienie i rzeki. Naokół błota i bagna. Ze zwierzyny jeszcze najprędzej spotkać można antylopę; drapieżne zwierzęta siedzą w ukryciu, a słonie i nosorożce wylegują się po bagniskach i moczarach. W tych właśnie błotach należy je tropić i urządzać polowania, a będą obfite; przekonałem się o tem niejednokrotnie.

Kwiecień, maj, czerwiec i lipiec: małe deszcze, roślinność wysoka, lecz mniej bujna, miejscami sucha.

W gąszczach niepodobna posuwać się bez szelestu, za lada poruszeniem trawy chrzęszczą i zdradzają naszą obecność. W tym czasie słonie rozpoczynają swe wędrówki, nosorożce ze świtem kryją się po legowiskach, antylopy, są niewidzialne. Kałuże i błota liczne wyschły. Rzeki spokojniej toczą swe wody. To okres polowania najmniej przyjemny i dający małe trofea. Sierpień, wrzesień, październik, listopad — to susza. Ogień wyniszcza doszczętnie niektóre okolice kraju, pali trawy, zostawiając tylko gdzieniegdzie kępy drzew i krzewów na tle szarej płachty popiołów.

W grudniu już puste płaszczyzny pokrywają się znów zielonością. Teraz zwierzynę spotkasz co krok, większe zwierzęta poszukują gęstych, zacienionych kryjówek; antylopy gromadzą się w nielicznych okolicach, gdzie są poiska. O wodę coraz trudniej, zwłaszcza pod koniec grudnia, to też polowania i czaty udają się znakomicie.

Podczas dnia upał panuje okropny, nużący. W tej porze najłatwiej ścigać antylopy.

Podczas deszczów polowałem dosyć na słonie i nosorożce, teraz nastanie susza i serya innych przyjemności. Czynimy więc przygotowania do łowów na antylopy i mniejsze zwierzęta, bo chcę nagromadzić sporo okazów do mego muzeum.

Stosownie do wybranej chwili na takie lub inne polowania, można otrzymać albo wspaniałe rezultaty, albo osiąść na koszu. Prawdę powiedziawszy, to polowanie na słonie podczas pory suchej jest nadzwyczaj trudne i nużące; zwierzęta odbywają pochody nocą, albo raniutko, w dzień zaś odpoczywają, a myśliwi podczas największego skwaru muszą je doganiać i ścigać; to, przyznam się, zanadto męczące.

Zobaczymy dalęj, że jednak udało nam się parę razy spotkać słonie, ale nie chcę uprzedzać faktów i wracam do kraju Mpesenów.

Przybyliśmy tu pod koniec pory deszczowej, w chwili, gdy kraj cały pokryty jest trawą na wpół uschłą, szeleszczącą, więc traciłem już zupełnie nadzieję upolowania którego z gruboskórych.

Po wzajemnej wymianie uczuć serdecznych i pocałunków z Samba Mropą, jednym z ministrów króla Mpesenów, którego rezydencya znajduje się w pobliżu, zakładam obóz na brzegach niewielkiej rzeczki Ntsatso, wpadającej do Luyi.

Przez pierwszych kilka dni deszcz mży bezustannie; w obozie głód; ludzie moi zjadają mi całe pudełka sardynek, bo przecież jeść im coś dać muszę. O, będzie źle, myślę sobie! Zwierza ani na lekarstwo, choć okolica spokojna i cicha; co prawda, to pora owoców fula i matando się skończyła; ale są jeszcze przecież drzewa miąbalamabua, z rodziny palm wachlarzowców, obciążone owocami, które słonie też chętnie jedzą. Smutny wzrok kieruję ku rzece, w niej jedyny ratunek.

Zastawiwszy sidła w nadbrzeżnej trzcinie, ułowiliśmy kilka kurek wodnych. Rzucamy się z żarłocznością na zdobycz; w braku innej żywności i kurki wodne smakują Potem łowiliśmy kilkakrotnie ryby w rzece Luya, płynącej o jakich 400 metrów od naszego obozu. Jednem słowem, smutne nastały czasy.

Aż pewnej nocy przyszło nareszcie to oczekiwane szczęście. Było może koło godziny trzeciej, księżyc świecił, zalewając łagodnem zielonawem światłem okolicę; naraz w tej ciszy rozlegają się ryki słonia, zrazu ciche, potem coraz głośniejsze. Tak, bezwątpienia, to słonie, znam ja dobrze ten głos, zwierzęta, gdy znajdą wodę, są tak zadowolone, że wydają ryki donośne, na podobieństwo dźwięków trąbki kawaleryjskiej. O, poczekaj, ja ci zatrąbię!

Zerwaliśmy się na równe nogi, porywamy broń i idziemy w kierunku, zkąd nas wrzawa dochodzi; przybywamy nad brzeg rzeki Luya, lecz cóż widzimy: oto słonie zakpiły z nas poprostu, bo są, rzeczywiście są, ale na przeciwnym brzegu. Dostrzedz ich niepodobna, bo roślinność gęsta, lecz ruch i szelest słychać w trzcinach doskonale.

Rzeka jest bardzo głęboka, a w tem miejscu na jakich sto metrów szeroka, co tu robić? Rzucić się w nurty i wpław przepłynąć?

Niepodobna, bo po pierwsze, mamy strzelby, którym taka kąpiel na zdrowie nie pójdzie, a powtóre, że brzegi rzek afrykańskich są zamieszkane przez obywateli świeżego powietrza o niemiłej powierzchowności, którzy się zwą krokodylami.

Roztropnem jest także nie stawać nad brzegiem z otwartemi ustami, w niemej kontemplacyi nad pięknością niebios, księżyca i gwiazd, bo taki sen na jawie może się smutnie zakończyć zimną kąpielą, albo jeszcze gorzej.

To też dosyć tych rozmyślań, należy jakiś praktyczny plan ułożyć.

W pobliżu nie ma łódki, ani pirogi, ale jest bród, przez który przechodziliśmy nie później, jak wczoraj, w pogoni za zwierzyną. Przypomniała mi się bajeczka o tej przezornej mamie, która mówiła do córek: „O! tego sposobu trzeba ci powinszować“. Biegniemy więc na złamanie karku do brodu, przechodzimy szczęśliwie przez wodę i znajdujemy się na drugim brzegu.

Z nieba uśmiecha się do nas różowa jutrzenka, ale my, nie zważając na piękności natury, puszczamy się za tropem. Łomot i chrzęst gałęzi świadczy, że zwierzęta są jeszcze w pobliżu. Maszerują sobie najspokojniej w krzakach nadbrzeżnych; wiatr powiał przez dolinę; trzymamy się na baczności, posuwając się przez chwil parę w górę.

Tu natrafiliśmy na błota, musieliśmy je okrążać i ten nagły zwrot zdradził nas.

W chwili, gdy dochodzimy nad brzeg urwisty, jakiż widok przedstawił się naszym oczom! Oto słonie maszerują przez sam środek rzeki na drugą stronę i są już od nas na jakich 150 metrów. Na nic się nie przydadzą wszystkie dalekonośne strzały, tembardziej, że w chwil parę słonie pogrążają się zupełnie w wodzie, utrzymując tylko trąby na powierzchni.

Woda cicho zamknęła się nad nimi, zataczając szerokie kręgi. Co za ciekawy i dziwny widok stanowi ten szereg trąb nad powierzchnią wody unoszących się i zwróconych w jedną stronę. Zdawaćby się mogło, że to jakieś szare olbrzymie węże odbywają wędrówkę.

Zwierzęta posuwają się powoli, pozostawiając za sobą długie smugi na gładkiej toni wodnej.

Po kilku minutach dno widocznie się podwyższa, zwierzęta kolejno wylądowują na przeciwnym brzegu i otrząsają swe czarne cielska z wody. Jest ich siedm, z tych dwa samce już stare i jeden młody. Ten ostatni rzucił się w wodę dopiero wtedy, gdy inne przybiły do lądu, a troskliwa matka podtrzymywała nieletniego synka trąbą przez cały czas przeprawy.

Stoimy w miejscu nieruchomo, oczekując z niepokojem, w którą stronę udadzą się słonie. Jeśli podążą w górę rzeki, wszystko przepadło: tam jest nasz obóz, słonie nas zwęszą i umkną. A może bogi natchną je szczęśliwą myślą i pokierują ich kroki w stronę przeciwną, ku brodowi.

Ale słonie wogóle nie myślą nawet iść dalej, dobrze im i chłodno w wigotnych nadbrzeżnych chaszczach.

My zaś upatrujemy dogodną przeprawę. Nieco opodal rzeka w jednem miejscu zwęża się znacznie, a nad powierzchnią wody wystają gdzieniegdzie kamienie. Wymarzone przejście dla ludzi tak zgrabnych, jak my.

Zaczynamy więc śmieszną, ale, nie mogę powiedzieć przyjemną, gimnastykę, przeskakiwania z kamienia na kamień i tak dalej. Jedni czynili to ze zgrabnością siedmioletniego słonia, drudzy mniej lub więcej zdarnie.

Nie obyło się przytem bez nagłych i niespodzianych kąpieli. No, ale jakoś nam się udało i jesteśmy

na brzegu. A teraz słonie poczekajcie! Naprzód za tropem!

Puszczamy się wszyscy tęgim kłusem do nadbrzeżnych chaszczów, a tak się zaawanturowaliśmy, że po chwili znajdujemy się w samym środku żerowiska słoni. O, źle, myślę sobie. Na dobitek otaczają nas krzewy na jakie trzy metry wysokie i okryte ostrymi liśćmi, które nam skórę kaleczą i przez to tamują przejście; wokoło nas zwieszają się liany i gałęzie na wpół uschłe, na których rosną przepyszne „tszitedze“, kolczaste kukurydze *(mucuna prurienus)* w smaku wyborne, ale również pokryte kolcami.

O trzy kroki przed nami nic nie widać; słychać tylko chrzęst gałęzi, łamanych przez słonie. Zdawało mi się, że są gdzieś blizko, ale nie przypuszczałem ani na chwilę, że jestem nimi otoczony. Nagle tuż za mojemi plecami spostrzegam, że olbrzymi szary wąż okręca się około drzewa, wyrywa je z korzeniami i unosi razem z ziemią i piaskiem.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, spostrzegam olbrzymi łeb słonia, objadającego najspokojniej smaczne owoce. Nie widziałem nigdy zwierza tak zblizka.

Widzę doskonale jego oczy brunatne, długie włosy na górnej szczęce i przepyszne białe kły.

— To samiec — szepce mi do ucha Tambarika — śpieszmy się, bo nas zwęszy.

To mnie wytrzeźwiło, trzeba mu w łeb palnąć, myślę sobie, bo jeśli cofnę się o krok, stracę go z oczu.

W jednej chwili nabijam dwie strzelby, jedną z nich kulami „solid“ i każę je trzymać w pogotowiu.

Nim się zmierzyłem, zapytuję ludzi:

— Którędy uciekniemy po strzale?

— Tędy — odpowiadają mi liczne szepty, przyczem ręce wskazują ku rzece, a potem na prawo.

— Dobrze — odpowiadam.

Mierzę w środek między okiem a uchem — i daję ognia.

Straszliwy ryk na lewo i chrzęst miażdżonych gałęzi zwiastują nam atak zwierza. Uciekamy, co sił starczy ku rzece, na bardziej odkryte miejsce.

(C. d. n.)

Korespondencye.

Niewistka nad Sanem, 23. września 1903.

Słysząc od dłuższego już czasu od jednego z „naszych najmilejszych“, mieszkającego tuż pod samym lasem, że całkiem biała jak „sznig“ liszka z trzydziestu kur, jakie miał, zjadła mu dwadzieścia pięć kur a tylko trzynaście zostawiła, powątpiewałem w pojawienie się takiej liszki, taksamo, jak powątpiewać musiałem w prawdziwość żywych i zjedzonych przez nią kur! Gdy atoli wieśniacy zaczęli coraz częściej mówić, że widują białą liszkę, chodzącą codziennie rano i wieczorem po kilkunastomorgowem owsisku, a dalej gdy leśny p. Bobczyńskiego, właściciela dóbr Niewistka, wiadomość mi tę potwierdził, wybrałem się ze strzelbą dnia 14. b. m. raniutko, aby ów wybryk natury choćby tylko zobaczyć. I rzeczywiście spostrzegłem ją myszkującą po owem ściernisku, a gdy za mało zwracała uwagę na otoczenie, przypłaciła to życiem. Jestto samica tegoroczna całkiem biała, bez najmniejszej odmiany. Posłałem ją do wypchania do Lwowa i przy tej sposobności przekonałem się, że nie od wypchania zwierzęcia, lecz od firmy, przyjmującej zwierzę do wypchania, wypadałoby płacić, choć z pewnością owa podwójnie wysoka należytość zażądana za wypchanie, chyba tylko za zaniesienie do mistrza sztuki wypychania się należała. No! ale może lis lisowi nie równy!

Nie wiem, czy Szanowna Redakcya umieszcza w dzienniku „Łowca“ korespondencye nie-członków Towarzystwa, donoszę jednak o zabiciu owej białej liszki, bo spodziewam się, że ten nadzwyczajny okaz grono myśliwych zainteresuje.

Bronisław Kwaśniewski.

Uniż, poczta Czernelica, telegraf Potok złoty.

Pierwszą słonkę w tym sezonie podniesiono w Uniżu 24-go września. *Kaz. Przybysławski.*

Delatyn, 25. września 1903.

Dziś w południe widziałem wielkie stado dzikich gęsi, wracające z Węgier do Galicyi. Z tego, pomimo, że od paru dni bardzo pozimniało, wnioskują huculi, nawiasowo mówiąc, bardzo pod tym względem doświadczeni, że znów nastąpi drugie wydanie ciepłej i pięknej jesieni. Ponieważ gęsi bardzo głośno gęgały lecąc, pogoda będzie długo trwać, a zima będzie ostra i śnieżysta. Nikt się nie omyli, wierząc w przepowiednie ptaków, więc zaopatrujmy się wcześnie w karmę dla zwierzyny, bo periculum in mora! *Bronisław hr. Starzeński.*

Grojec, 3. października 1903.

Uwagi o szkodach wyrządzonych przez zwierzynę.

Nauki niepowołanych lub samozwańczych opiekunów naszego ludu, którzy pod płaszczykiem miłości bliźniego, narzucają mu swe zbawienne rady i opiekę, a w rzeczywistości żyją jego pracą i znojem, są przeto nie opiekunami, lecz krwiożerczymi pasożytami tegoż ludu, wydają swe zgubne owoce również na niwie łowiectwa. Mam tu na myśli, niczem nieusprawiedliwione, wygórowane żądania wynagradzania szkód, wyrządzanych rzekomo przez zwierzynę leśną. Pretensye te tem częściej się powtarzają, tem więcej są wygórowane, a nie uzasadnione, im mniej wydatna produkcya rolna danej miejscowości, czy to skutkiem nieurodzajności gleby, czy też niedbalstwa w jej uprawie. Widzimy, że w powiatach co do gatunku gleby najbiedniejszych, a wobec licznych fabryk, kopalń, przeludnionych, gdzie ludność stanowi parozagonowy proletarjat wiejski, utrzymujący siebie i liczne szynki, z zarobku w fabrykach i kopalniach, żądania odszkodowań są coraz częstsze, a co do swej wysokości niczem nie usprawiedliwione. Niech służy za przykład gmina Czyżówka powiatu chrzanowskiego. Obszar gruntów włościańskich w tej gminie, w znacznej części nieużytków, wynosi 319 morgów, najlichszych podmokłych piasków, gdzie zaledwie obsiew się zwraca. W tych warunkach i zwierzostan wobec braku pożywienia, ciągłego niepokoju na rozdrobionych gruntach, nie może być dobrym. Całą obsadę tego sławnego rewiru stanowi 10 do 15-cie zajęcy i jedno, do dwóch stadek kuropatw. Czynsz dzierżawny z polowania gminnego nie przekracza wobec braku licytantów 10-ciu koron a każdy z dzierżawców zwykle już po roku, zrzeka się swych tak drogo nabytych praw, poświęcając w dodatku i kaucyę.

Powodem niesłychanie wygórowane, a niestety przyznane odszkodowania szkód, wyrządzanych przez zwie-

rzynę, dochodzące do kilkuset koron, do których wymiaru podstawą jest tam nieodpowiednia taryfa powiatowa. Tak więc jeden zabity tam zając kosztuje dzierżawcę do 100 koron. Pomijając, że taryfa odszkodowań winna być ułożoną, co najmniej dla każdego okręgu sądu powiatowego, by ją módz możliwie dostosować do pojedyńczych lokalnych stosunków, nadto winny być w taryfie tej przeciwstawione szkodom, korzyści, jakie właściciel gruntu ze zwierzyny odnosi. Wiadomo, że w przyrodzie nic nie ginie, zatem zając, czy kuropatwa, tylko bardzo małą część spożytego pokarmu, obraca na rozwój swego organizmu, resztę zaś oddaje glebie, z której się żywi, pod postacią odchodów, stałych, płynnych i lotnych, z drugiej zaś strony tępiąc liczne, a nie pożądane chwasty, a kuropatwa i szkodliwe rolnictwu owady, w czem wyręcza niedbałego rolnika oddając mu niepomierną przysługę. Część pokarmu zużyta przez zwierzynę na faktyczny rozwój jej organizmu i tak jest już drogo zapłaconą czynszem dzierżawnym, więc słuszność żądania odszkodowania nie istnieje, tem więcej, że ani zając, ani kuropatwa, i to w tak małej ilości, jakichkolwiek szkód przez stratowanie ziemiopłodów wyrządzić nie może. Gdy jednak ułożenie taryfy takiej przedstawia prawie niepokonane trudności, słusznemby było, podobnemu wyzyskowi, zapobiedz zmianą ustawy łowieckiej, a mianowicie w tym kierunku, że gminy, które w latach poprzednich stawiały, niczem nie uzasadnione pretensye odszkodowań, musiałyby się z góry w protokole licytacyjnym zrzec wszelkich pretensyi odszkodowania, w przeciwnym zaś razie, przysługiwałoby władzy polítycznej prawo, licytacyi na prawo polowania nie rozpisywać, a temsamem zmusić gminę, by prawo to we własnym zarządzie przez egzaminowanych strzelców, w ramach ustawy wykonywała, lub też dochodu z polowania się zrzekła. To byłby jedyny sposób zapobieżenia, niczem nieusprawiedliwionemu wyzyskowi, demoralizującemu ludność i tak już obałamuconą agitacyą niepowołanych opiekunów.

Jan Chwalibóg.

Słonki i jelenie — oto przedmiot rozmów między myśliwymi, którzy się dziś spotykają. Mówią powszechnie, że tegoroczny ciąg słonek jest jednym z piękniejszych — o jeleniach opowiadają cuda.

Tymczasem, niestety „Łowiec“, tak jakby nie był organem naszych Nemrodów, nie otrzymuje żadnej wiadomości o tych łowach — i zmuszony jest pisać o egzotycznych polowaniach. Mamy nadzieję, że myśliwi nasi spocząwszy po trudach podchodów jelenich, uraczą nas opisami łowów na tego króla naszej zwierzyny. Na razie podajemy, że o ile nas dochodzą wieści, w Perehińsku i w Jasieniu padło 40 wspaniałych rogali.

W Perehińsku ubił hr. Stanisław Szeptycki 9 jeleni, hr. Kazimierz Szeptycki 4 jelenie, ks. Andrzej Lubomirski 5 jeleni, ks. Paweł Sapieha 5 jeleni, hr. Czosnowski 1 jelenia, hr. Stanisław Mycielski 1 jelenia i kunę (kulą z Mannlichera).

W Jasieniu ubił hr. Edward Mycielski 5 jeleni i ogromnego niedźwiedzia, hr. Maurycy Zamoyski 5 jeleni i głuszca, hr. Zdzisław Tarnowski 3 jelenie i słonkę (kulą z Mannlichera), p. Zdzisław Skrzyński 1 jelenia.



Sprawy Towarzystwa.

Korzystając z zebrania się Sejmu, postanowiło Prezydyum Towarzystwa wnieść petycyę w sprawie udzielenia nam subwencyi z funduszu krajowego na cele poparcia rozwoju łowiectwa w kraju. Petycyę tę wniósł Prezes nasz, poseł hr. Stanisław Stadnicki i poparł ją treściwem przemówieniem. Petycya została przydzieloną komisyi budżetowej do załatwienia. Mamy nadzieję, że nie spadnie ona z porządku dziennego i że słuszny nasz postulat doczeka się pomyślnego załatwienia.

KRONIKA.

Nasze illustracye. W zeszłym numerze podaliśmy reprodukcyę dwóch, w obecnym drugich dwóch akwareli Kossaka, przestawiających sceny z polowań górskich ks. Adama Sapiehy.

Rzadki dowód przyjaźni między zwierzętami. W czasie gdy menażerya Hagenbecka znajdowała się w Strassburgu, zawarł jeden z tygrysów wielką przyjaźń z małym pieskiem pogromcy zwierząt. Kiedy raz, rozłączone dotychczas zwierzęta, dla próby wpuszczone zostały do jednej klatki, do której wszedł, nieprzeczuwając nic złego pogromca w towarzystwie swego pieska, rzucił się na tego ostatniego jeden z lampartów. W tej samej jednak chwili przyskoczył tygrys i zmusił lamparta do puszczenia swej ofiary, która wyszła z lekką tylko raną, a która byłaby zginęła niewątpliwie bez interwencyi tygrysa.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**